



Amerykańskie polowanie na indyka

Witold Daniłowicz

W każdym kraju istnieje polowanie, o jakim marzą myśliwi, a początek sezonu na dany gatunek jest prawie ich świętem. W Stanach Zjednoczonych to niewątpliwie polowanie na dzikiego indyka (*Meleagris gallopavo*). O ile w Polsce ten ptak kojarzy się wyłącznie z hodowlą przydomową i kuchnią, o tyle po drugiej stronie Atlantyku upolowanie „gulgacza” (ang. *gobbler*), czyli koguta, stanowi pragnienie właściwie każdego myśliwego. Wbrew pozorom jednak niełatwo to zrealizować i rzecz wymaga dużego kunsztu łowieckiego.

Pierwszą próbę zapolowania na indyka podjąłem kilka lat temu, gdy dwóch amerykańskich kolegów z międzynarodowego klubu myśliwskiego, którego byłem członkiem, zaprosiło mnie do wzięcia udziału we wspólnej wyprawie na *gobblera*. Udaliśmy się do północnej części stanu Nowy Jork. Czekał tam na nas przewodnik, jak mnie zapewniano, wybitny specjalista w wabieniu tych ptaków i najlepszy

podprowadzający w tej części stanu. Spędziliśmy kilka dni w łowisku na zamaskowanych stanowiskach, jednak nie dość, że żadnemu z nas nie udało się upolować indyka, to jeszcze nawet ich nie widzieliśmy. I to mimo wielkich wysiłków podprowadzającego, który cały czas kręcił patykiem po drewnianym pudełku, przez co wydobywał się skrzekliwy dźwięk mający przywabić indyki.

Kolejny raz wybrałem się na nie na południe Stanów, do Georgii. Dla odmiany towarzyszył mi George. Polowałem z nim już wielokrotnie, w kilku krajach. Tym razem zapowiadało się na sukces. Pojechaliliśmy późną wiosną, tuż po rozpoczęciu sezonu łowieckiego. Indyków rzeczywiście widzieliśmy całkiem spo-

ro. Byli też świetni podprowadzający – młodzi chłopcy, ale doświadczeni i zapaleni myśliwi. A mimo to nie udało mi się pozyskać wymarzonego trofeum. Prawdziwy pech. Za to George miał szczęście i podczas ostatniego wyjścia strzelił piękny okaz starego *gobblera*.

ostrożność zapisana w genach

W Georgii od razu zauważyłem, że nasi przewodnicy używali innych, poważniejszych wabików. Wykorzystywali oni bowiem membrany, które wkładali do ust i z których wydobywali dźwięki imitujące odgłosy wydawane przez indyki. Membran mieli zresztą cały zestaw i dobierali je w zależności od tego, jaką koncepcję wabienia chcieli zastosować danego dnia. Naśladowali np. kurę (*hen*)

Witold Daniłowicz

e-mail: witold.danilowicz@gmail.com





© DavidAndrew/Fotolia



Z Piotrem (z lewej) – organizatorem wyprawy i mistrzem w wabieniu indyków

Arch. Witolda Daniłowicza

przywołującą indora (zwanego też *tom*) czy indora przywołującego kurę. Gama możliwości jest całkiem bogata.

Wabienie stanowi kluczowy element polowania na indyki i ktoś, kto tego nie umie robić, właściwie nie ma po co iść w łowisko. Wynika to przede wszystkim z tego, że te ptaki cechuje, po pierwsze, nadzwyczajna płochliwość, a po drugie, niesamowita spostrzegawczość. Dojrzą najmniejszy ruch nawet z 2 km i zaniepokojone natychmiast uciekną. Tak więc o podjęciu indyka nie ma mowy. Jedyne sposoby to przywabić go do siebie na odległość pozwalającą oddać strzał.

Płochliwość gatunku bierze się z jego doświadczeń historycznych. Zamieszkiwał on Amerykę Północną, na długo zanim zjawili się tam Europejczycy, i był bardzo rozpowszechniony. Z chwilą pojawienia się pierwszych kolonistów występował prawie wszędzie w ogromnej liczbie i nie wykazywał lęklności. Wynikało to z tego, że nie leżał w kręgu zainteresowań łowieckich rdzennych mieszkańców. Indianie polowali na bizona i jelenie, łowy na indyki uważali zaś za zajęcie odpowiednie dla kobiet i dzieci, a później – także przybyszów z Europy. Nie znaczy to jednak, że Indianie nie znali wartości odżywczej tego ptaka. Po prostu raczej traktowali indyki jako źródło pożywienia na czas głodu, gdy zabrakło innego mięsa. Ponadto bardzo cenili ich pióra, którym przypisywano właściwości lecznicze. Wykorzystywano je również w obrzędach rytualnych oraz robiono z nich niezwykle ciepłe i lekkie okrycia na zimę. Dlatego też Indianie przeważnie łapali indyki



W oczekiwaniu na indyka

Arch. Witolda Daniłowicza

żywym i puszczał wolno po pozabawieniu ich piór z okolic piersi i ogonów.

Przybysze z Europy, dla których zdobycie pożywienia było najważniejszą sprawą, zastali więc ogromne ilości ptaków stanowiących źródło świetnego mięsa. I tak zaczęło się masowe pozyskiwanie indyków przez kolonistów. O skali tej działalności świadczy to, że – jak wskazują wspomnienia z XVII–XVIII w. – dobry myśliwy mógł przynieść do domu nawet 100 osobników dziennie. Ale po-

lujący nie byli jedynym powodem redukcji liczby indyków w Ameryce Północnej. Drugim okazały się świny przywiezione przez osadników, ponieważ zaczęły one masowo wyjadać jaja tych gniazdujących na ziemi ptaków. Kolejny czynnik mający istotny wpływ na spadek populacji indyków to wycięcie puszczy, które stanowiły ich naturalne siedlisko, a musiały zniknąć, aby zaspokoić głód ziemi uprawnej, trawiający nowych przybyszów na kontynent amerykański. ▶



© bmm1949/fotolia

Wskutek tych przemian liczba indyków zaczęła się szybko zmniejszać. To zjawisko nasiliło się w XIX w. wraz z dalszym rozwojem kolonizacji kontynentu. W rezultacie na początku XX w. ten gatunek został właściwie całkowicie wybity. Zachowała się tylko mała populacja w najbardziej niedostępnych miejscach stanów Arkansas i Missouri oraz w Appalachach. Z zupełnie oczywistych względów zaniechano więc także polowań na te ptaki.

Po II wojnie światowej podjęto pierwsze próby odbudowy populacji indyków. Początkowo usiłowano tego dokonać, krzyżując ptaki dzikie z hodowlanymi. Niestety, eksperyment się nie powiódł, jako że osobniki urodzone z tej krzyżówki nie były w stanie przetrwać samodzielnie. W 1958 r. w stanie Illinois przeprowadzono więc akcję introdukcji dzikiego indyka. Okazała się ona na tyle skuteczna, że w 1970 r. po raz pierwszy od dziesiątek lat przywrócono polowania na ten gatunek. Od owego czasu jego populacja bardzo się rozrosła – do tego stopnia, że polowanie na niego stało się jednym z najpopularniejszych w Stanach Zjednoczonych.

Historia dzikiego indyka tłumaczy, dlaczego jest on tak ostrożny i czujny. To właśnie te cechy genetyczne pozwoliły małej grupce osobników przetrwać intensywną presję łowiecką. Niewątpliwie przekazywano je dalej i w dzisiejszej populacji występują powszechnie. Z jednej strony to duże utrudnienie dla my-

śliwych, ale z drugiej gwarantuje temu gatunkowi dalszy rozwój i powoduje, że polowanie na indyka wywołuje taką ekscytację. Co do stopnia emocji można je porównać tylko z polowaniem na głuszce, od którego jest jednak trudniejsze.

z maskowaniem i bałwankami

Jak wspominałem, indyka w zasadzie nie da się podejść ze względu na jego czujność, więc typowe polowanie na ten gatunek wiąże się z wabieniem. Wymaga to nie tylko świetnego słuchu, lecz także dobrej znajomości obyczajów tych ptaków. Otóż noce spędzają one na drzewach. Koguty śpią razem z kurami. Samice budzą się pierwsze, sfruwają na ziemię i zaczynają żerować. Kogut po przebudzeniu, zaniepokojony nieobecnością kury, zaczyna wydawać odgłosy przypominające gulgotanie (*gobbling*) – stąd nazwa „gulgacz” (*gobbler*) – które mają skłonić samicę do powrotu. Ta z kolei odpowiada swoim odgłosem, zachęcając „gulgacza”, aby to on przyszedł do niej. To właśnie ten odgłos najczęściej imituje myśliwy, który musi przekonać indora, by zechciał sprawdzić, co się dzieje z jego kurą, ewentualnie poznać jakąś nową.

Indor, jeżeli już się zdecyduje odpowiedzieć na takie wezwanie, nie biegnie ślepo w kierunku słyszanego wabia. Wynika to z jego naturalnej ostrożności. Poza tym cały czas stara się przekonać samicę, żeby to jednak ona przyszła do niego. Jak mu się nie uda, dopiero wtedy może ruszyć na wyprawę po

nią. Często ma do przebycia sporą odległość, niekiedy nawet dobrze ponad kilometr. Przemierza ją odcinkami – biegnie kilkadziesiąt metrów i gulgocze: „To ty chodź do mnie”. Potem kolejne kilkadziesiąt metrów. Czasami dodaje do tego udawane zniechęcenie i zawrócenie z trasy albo skręt w bok. Pokonanie ostatniego odcinka potrafi trwać całkiem długo.

Jako że indyka cechują doskonały wzrok i spostrzegawczość, mógłby się zorientować, że tam, skąd dochodzi odgłos kury, nie czeka żaden ptak. Dlatego też na polowaniu nie obejdziesz się bez bałwanka. Myśliwy wbija plastikową kurę na patyku w ziemię na łące, jakieś 20–30 m od swojej kryjówki, usytuowanej najczęściej na skraju lasu. Dzięki temu wypatrzenie go jest dużo trudniejsze. Aby zwiększyć swoje szanse, trzeba się ubrać w strój maskujący całe ciało. Kluczowe znaczenie mają rękawiczki i maska na twarz. Amatorzy tych polowań dysponują nawet bronią całą fabrycznie pomalowaną w maskujący wzór. Kolejny krok do powodzenia przedsięwzięcia to szalasa (oczywiście także w maskujący wzór). Dzięki niemu indyk nie zobaczy drobnego ruchu nogą czy ręką.

Indor, który ostatecznie zdecydował się podejść do kury (a właściwie imitującego ją bałwanka), nie zbliża się do niej wprost. Rozkłada ogon, nadyma pierś i obchodzi ją wkoło, rozpoczynając swój taniec godowy. Nazywa się to po angielsku *strutting*, a indora w takiej pozie (najpopularniejszej dla indorów wypychanych jako trofeum) – *strutter*. Jest to fascynujące widowisko. Niestety, to właśnie moment, w którym myśliwy musi oddać strzał i przerwać ten piękny taniec.

Strzelamy na stosunkowo niewielką odległość drobnym śrutem. Kaliber dowolny. Najpopularniejsza jest, oczywiście, dwunastka. Wydawałoby się zatem, że trafienie nie powinno stanowić problemu. A jednak stanowi, i to duży. Przede wszystkim musimy wcelować w głowę, wielkości małej pięści. Strzał w korpus obali indyka i ogłuszy, ale poza tym nie uczyni mu większej krzywdy. Ptak wstanie, otrzepie się i ucieknie. Tak więc tylko trafienie w głowę gwarantuje sukces.

Ponieważ indor zauważy nawet najdrobniejszy ruch, myśliwy musi tkwić w miejscu absolutnie nieruchomo. Oznacza to, że czasami grozi mu omdle-

nie rąk. Tak może się zdarzyć, gdy siedzi się bez szałasu i przyjdzie trzymać gotową broń wycelowaną w zbliżającego się indora przez kilkanaście albo i więcej minut. Próba złożenia się przed samym strzałem jest z góry skazana na niepowodzenie – indor to dostrzeże. Dopiero wtedy docenia się rolę szałasów, który pozwala jednak zmienić pozycję czy podnieść broń do ramienia tuż przed oddaniem strzału.

Upolowanie indora z podchodu to prawdziwe wyzwanie. Myśliwy musi być, rzecz jasna, całkowicie zakamuflowany – łącznie z maską na twarz i rękawiczkami. Kluczowy element wyposażenia to bałwanek *struttera* – indora z rozwiniętym ogonem. Taki bałwanek składa się właściwie tylko z głowy i rozpostartego ogona. Musi bowiem wyglądać naturalnie jedynie z przodu. Dzięki temu jest lekki i dość szeroki. Myśliwy trzyma go na kijku przed sobą i wolno skrada się przez łąkę, kryjąc się za swoim bałwankiem. Przesuwa się w kierunku indora lub grupy indorów wykonujących taniec godowy, widzianych z oddali. Zauważywszy intruza, najpierw go obserwują. Wreszcie któryś z członków grupy postanawia się z nim rozprawić i rusza w jego stronę.

Często jest to prawdziwy atak. W takiej sytuacji indor podchodzi bardzo blisko do skradającego się myśliwego, co pozwala przyjąć pozycję strzelecką, wychylić się zza bałwanek (w tym momencie może być on już wbity w ziemię albo odrzucony) i oddać strzał do nacierającego ptaka. Najczęściej to jednak strzał do uchodzącego osobnika, który zorientowawszy się, że coś tu nie gra, rzuca się do ucieczki. Mój opis na pewno nie oddaje całej złożoności i trudności polowania tego typu.

przerwany taniec

Ponieważ wychodzę z założenia, że wcześniejsze porażki nie powinny zniechęcać do kolejnych prób, po dwóch nieudanych podejściach postanowiłem jeszcze raz spróbować szczęścia w polowaniu na indyka. Namówił mnie do tego Piotr, Polak mieszkający w okolicy Chicago, prawdziwy entuzjasta myślistwa. Poznaliśmy się rok wcześniej na łowach na przepiórki w Mołdawii. Opowiedziałem mu wtedy o swoich dwóch niepowodzeniach. Roześmiał się: – Przyjedź do mnie! Wyprawimy się razem i na pewno będziesz miał indora.

Tak też się stało. Oczywiście nie było to wcale takie proste. Ledwo dotarli-

śmy do łowiska – wcześniej rano, grubo przed świtem – a już zaskoczyła nas burza, którą musieliśmy przeczekać w samochodzie. Wreszcie wyruszyliśmy. Szałas rozbiliśmy na skraju lasu, z szerokim widokiem na duże pole i łąkę, a więc otwartą przestrzeń. 20 kroków przed miejscem zasiadki wbiliśmy w ziemię bałwanek – plastikową kurę na patyku. Wyglądała jak żywa.

Powoli budził się dzień. Indyków nie widzieliśmy. Ale wkrótce zaczęły się odzywać. Piotr, doświadczony wabiarz, wydał werdykt – ciągle siedzą na drzewach. Zatem spróbował zachęcić je do zejścia. Niestety, niezbyt skutecznie. To zapewne rezultat burzy, którą my przesiadzieliśmy w samochodzie, a one – na gałęziach. Po półgodzinie w oddali zaważyliśmy jednak dwa *tomy*. To dobry znak, zaczynał się ruch w łowisku. Nasza radość była jednak trochę przedwczesna, bo przez kolejną godzinę żaden ptak nie reagował na nasz wab. Powoli zacząłem tracić nadzieję na spotkanie.

Okazało się, że niesłusznie. Minęło kolejne pół godziny i usłyszeliśmy indora całkiem blisko nas. Piotr zawabił, co wywołało natychmiastowy odzew – indor połknął haczyk! Tak się zaczęła dwudziestominutowa wymiana zdań między Piotrem a niewidzialnym kogutem. Niewidzialnym, ale nawet ja mogłem stwierdzić, że niewątpliwie zbliżającym się do nas. Słuchanie, w jaki sposób Piotr wabił ptaka, stanowiło wspaniałe przeżycie myśliwskie. Nie ulegało wątpliwości, że tym razem miałem szczęście polować z prawdziwym mistrzem tej sztuki. Minęło kolejnych 10 minut i przez krzaki zobaczyłem kroczonego indora, a właściwie tylko jego głowę. Zmierzał w kierunku naszego bałwanek. Podszedł do imitacji kury i zaczął ją okrążyć w odległości kilku metrów. Dumnie podniesiona głowa, nadęta pierś, rozpostarty ogon – naprawdę piękny widok. Podziwiałem go, siedząc na ziemi z bronią gotową do strzału. Łokcie trzymałem oparte na kolanach. Zapewne należało poczekać ze strzałem i obejrzeć cały taniec godowy. Muszę jednak przyznać, że nie starczyło mi na to cierpliwości. Czułem się tak podekscytowany tym, że wreszcie mam szansę upolować indora, że pociągnąłem za spust. Strzał był celny i ptak padł w ogień. Cieszyliśmy się z Piotrem ogromnie. Do dzisiaj pozostaje to jedno z moich najmilejszych wspomnień myśliwskich. ●



Arch. Witolda Daniłowicza